

AUTOBIOGRAFIA NARRATORKI 2

CZEŚĆ I - BIOGRAFIA PRZEŻYTA

Staram się być osobą poukładaną. Cenię sobie dokładne realizacje wcześniej zaplanowanych celów. Cieszy mnie to, że moja edukacja przeszła właśnie według mojego planu, bez poślizgów. Chciałabym podkreślić, że od początku był to mój plan. Nikt mnie nie zmuszał do nauki. Mam to szczęście być dzieckiem Rodziców, którzy mnie wspierali w trudnych edukacyjno-zawodowych decyzjach, przedstawiając wszystkie za i przeciw. Wybór jednak zawsze należał do mnie.

Zatrzymując się chwilę właśnie przy moich Rodzicach. Zawsze dużo oboje pracowali. Prowadzili własny biznes, rozwijali go, inwestowali w niego swoją energię. Ich wspólna praca stwarzała nieraz niestety pole do konfliktów. Ich małżeństwo uważam jednak za udane, a ja i mój młodszy o trzy lata Brat nie czuliśmy się zaniedbywani. W tygodniu po szkole pozostawaliśmy pod opieką cioci czy babci, ale w weekendy zawsze całą rodziną spędzaliśmy czas. Czy to były wycieczki górskie, spacer, odwiedzanie rodziny – zawsze byliśmy razem. Wspaniale wspominam nasze wakacje – sporo zwiedziliśmy.

Fot. 1: Z moją Mamą w wagoniku kolejki na Szyndzielnię.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Fot. 2: Z Mamą i Bratem podczas odpoczynku na górskim szlaku.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Żyło się nam dostatnie. Dzięki temu mogliśmy z bratem brać udział w wielu zajęciach pozaszkolnych.

Angielski to była podstawa! Od przedszkola, przez całą podstawówkę, liceum chodziłam na dodatkowe korepetycje. Nauka języka sprawiała mi dużą przyjemność. Byłam w tym dobra. Nawet maturę pisemną zdawałam z angielskiego (jako z przedmiotu do wyboru), a nie z biologii, czego mogło się spodziewać po kandydatce na medycynę. Bliska mi była kultura brytyjska. Czytałam książki angielskich autorów, potem również w oryginale. Moją ulubioną autorką z tych lat była Jane Austen. Opisywany przez nią krajobraz angielskiej wsi marzył mi się wiele razy.

Fot. 3: *Peak District*, Anglii. Miejsce, gdzie kręcono jedną ze scen ostatniej ekranizacji powieści Jane Austen „*Duma i uprzedzenie*”.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Na początku liceum pierwszy raz odwiedziłam Wielką Brytanię. Byłam uczestniczką wakacyjnego kursu językowego, mieszkałam razem z angielską rodziną. To był wspaniały wyjazd – wiele się nauczyłam, nie tylko pod względem językowym, ale także samodzielności i odpowiedzialności. Teraz pomimo, że nie mam czynnego kontaktu z językiem, staram się oglądać filmy i seriale bez lektora, czy napisów. Słucham przez internet angielskich stacji

radiowych. Czuję się z tym językiem naturalnie. Chciałabym żeby moje dzieci także dobrze znały przynajmniej jeden język obcy. Od roku moja córka chodzi na zajęcia dla maluszków w szkole językowej. Przyjemnie obserwować z jaką łatwością przychodzi jej nauka, choć to jeszcze przecież nauka przez zabawę. Kilka razy w tygodniu czytam jej na dobranoc po angielsku, większość starannie przez nas dobranych bajek ogląda w oryginale. Myślę, że taki wczesny kontakt z językiem zaprocentuje w przyszłości.

Mojej mamie zależało także na naszej edukacji muzycznej. Mój dziadek ze strony mamy grał na skrzypcach, w ogóle cała rodzina jest bardzo muzykalna – kuzyni grają na gitarach, wszyscy pięknie śpiewają.

Fot. 4: Wspólne muzykowanie z kuzynami i przyjaciółmi.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Zacząłam więc od 7. roku życia grać na pianinie. Niestety ze względów lokalowych, mieszkaliśmy w małym mieszkaniu, nie mogliśmy zakupić „prawdziwego” pianina. Grałam na keyboardzie. Przychodził do mnie i do Brata nauczyciel. Młody wówczas student dyrygentury. Skłamałabym mówiąc że bardzo mi się chciało ćwiczyć. Zwykle na godzinę przed planowaną lekcją w pośpiechu przegrywałam zadane utwory. Nauczyciel od razu to wyłapał – kręcił głową, uśmiechał się i mówił: „Widać, że to nie jest na blachę, ale mało kto umiałby zagrać tak bez wcześniejszego przygotowania”. Na polu muzycznym również dobrze

mi szło. To motywowało. Kilka razy do roku mieliśmy organizowane tzw. „popisy”. Zapraszaliśmy babcię, kilka cioć, najlepsze koleżanki i kolegów. Światła reflektorów, trema, trzęsące się palce, ale jaka radość podczas aplauzu. Bardzo żałuję, że sama zdecydowałam się przerwać naukę po zakończeniu szkoły podstawowej. Wydawało mi się wtedy, że nauka w liceum będzie na tyle wymagająca, że gra na pianie i dobre osiągnięcia naukowe będą nie do pogodzenia. Mam nadzieję, że kiedyś wrócę do gry. Może jak dzieci będą chciały to będziemy się kiedyś uczyć razem. Mam gitarę, na której coś tam potrafię zagrać. Co roku obiecuję sobie, że nauczę się kolęd i wspólnie z kuzynami pośpiewamy przy choince. Kończy się tylko na moim udziale wokalnym w tym całym kolędowaniu. Muzyka w naszej rodzinie jest i będzie zawsze bardzo ważna.

Cenię sobie także szeroki wachlarz innych zajęć pozalekcyjnych na które uczęszczałam – był etap jazdy konnej, tańca towarzyskiego, gry w tenisa, w zimie obowiązkowo obóz narciarski. W sporcie nie szło mi zbyt dobrze. Na lekcjach wf-u w podstawówce byłam słaba. Miałam gorszą kondycję i koordynację ruchową. Koleżanki nie były zachwycone, gdy trafiałam do ich drużyny. Cieszyłam się, gdy w siódmej klasie byłam zwolniona z zajęć z powodu kontuzji kolana. Mimo to lubiłam dodatkowe zajęcia pozaszkolne związane z aktywnością ruchową. Choć nauka jazdy na nartach zajęła mi znacznie dłużej niż moim rówieśnikom. Można nawet powiedzieć, że dopiero kilka lat temu zaczęła mi sprawiać prawdziwą frajdę i podoba mi się mój styl.

Fot. 5: Obóz narciarski w Zwardoniu.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Fot. 6: Z Mężem w Alpach francuskich. Rok 2010.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Konie były cudowne, choć do teraz mam do tych zwierząt spory respekt. Nie raz zdarzyło mi się spaść z konia, czy dostać kopniaka. Ale planuję kiedyś jeszcze wrócić do jazdy. Może już całą rodziną.

Fot. 7: W stadninie koni w Międzyrzeczu.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Podsumowując temat zajęć pozaszkolnych chciałabym zaznaczyć, że nigdy nie czułam się zmuszana do nich. Rodzice nie wywierali na nas żadnej presji. Nigdy nie było tak, że nie mieliśmy czasu na zabawę, że po szkole jeździliśmy z basenu na angielski, a potem jeszcze na tenisa. Wszystkie „dodatki” były rozłożone w czasie. Jeden rok jazdy konnej, kolejne dwa lata tenisa itp. Często bywało tak, że sama znajdowałam sobie nowe zajęcia. Rodzice je akceptowali i pomagali nam na nie dotrzeć, a przede wszystkim sfinansować. Za co jestem im ogromnie wdzięczna. Uważam to za ogromny kapitał, który posiadam, właśnie tę różnorodność. Mimo, że nie jestem fachowcem w żadnej z tych dziedzin, to mam o nich wszystkich pojęcie. Z przerażeniem patrzę teraz na dzieciaki w moim otoczeniu, które nie mają czasu być po prostu dziećmi, nie mają kiedy się ponudzić. Muszą być doskonałe w każdej dziedzinie. Czas poza szkołą mają wypełniony aż do wieczora, kiedy to już padają ze

zmęczenia nad zadaniem domowym. A przecież można inaczej – spróbować wszystkiego, jest przecież na to czas przez całe życie. Obiecuję sobie, że jako mama nie poddam się tej presji mnogości zajęć pozaszkolnych. Trzeba przecież mieć czas żeby побыć razem!

Wracając jednak do planu edukacyjnego. Uwielbiałam chodzić do przedszkola. Zaczęłam dość wcześnie jako 2,5 latek. Ale nie pamiętam płaczu ani żadnych dramatów związanych z rozstaniem z Rodzicami. Nie miałam problemów w kontaktach z dziećmi i z pedagogami.

Fot. 8: Mikołaj w przedszkolu. Ja – piąta od lewej. Nie licząc Mikołaja.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Pamiętam za to jak mój młodszy brat zaczął chodzić do tej samej placówki. Codziennie przychodził do mnie, do „starszaków”, zapłakany. Często chorował. Przedszkole nie było dla niego. Widać niektóre dzieci tak mają. Obecnie częściej wspominam ten etap edukacji, bo właśnie dwa tygodnie temu posłałam swoją 2,5 letnią córeczkę pierwszy raz do przedszkola. Myślę, że po początkowych trudnościach dość dobrze zaaklimatyzowała się w grupie i będzie fanką przedszkola podobnie jak jej mama.

W szkole podstawowej świetnie się uczyłam. Nauka przychodziła mi z łatwością.

Fot. 9: W poczcie honorowym ze sztandarem szkoły podczas zakończenia szkoły podstawowej. 1998 rok.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Wcale nie spędzałam nad książkami całego wolnego czasu. Klasa też nie uważała mnie za kujona. Od początku było mi bliżej do nauk przyrodniczych niż do języka polskiego, z matematyką problemu nie miałam. Kochałam geografię! Myślę, że w dużej mierze była to zasługa nauczycielki. Potrafiła nas zaciekawiać, była stanowcza ale konsekwentna, konkretna kobieta. Dla mnie wzór pedagoga. Nawet wzięłam udział w olimpiadzie z geografii w ósmej klasie. Bez spektakularnych sukcesów, ale samo przygotowywanie się do niej sprawiło mi to dużą frajdę. Żyłkę podróżniczą zaszczerpił we mnie mój Tata. Wspominałam o weekendowych wycieczkach, sporo nam czytał przed snem i to nie tylko bajki, ale także książki przyrodnicze. Sam zwiedził kawałek świata podczas studiów – odwiedził Chiny, Mongolię, Kanadę i Stany Zjednoczone, co w latach 70-tych nie było tak łatwe do zrealizowania jak obecnie.

Fot. 10: Z moim Tatą na jednej z wielu wycieczek krajoznawczych.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Był okres kiedy sporo myślałam, żeby studiować oceanografię. Choć równolegle myśl o medycynie zaczynała już kiełkować w mojej głowie. Ale to właśnie mój Tata powiedział mi wtedy, że podróżować można również będąc lekarzem, a trudno wyżyć z pensji oceanografa. Mimo wszystko geografia zawsze pozostanie moim ulubionym przedmiotem, a podróżować uwielbiam. Razem z rodziną kilka razy do roku wyjeżdżamy na weekendowe wojaże po Polsce i nie tylko...

Fot. 11: Z trzymiesięczną córeczką w okolicach Kazimierza. Rok 2011.



Fot. 12: Z moją Rodziną w Północnej Walii. Rok 2012.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Choć wakacje – nie powiem – lubimy spędzać leniuchując nad ciepłym morzem.

Po szkole podstawowej dostałam się do wymarzonego liceum. Nie było mi lekko na początku. Pani profesor z geografii beznadziejna. Klasa bardzo liczna, szybko zaczęły się tworzyć w tym mini społeczeństwie grupki i paczki, a mnie z żadną z nich nie było po drodze. Zawiodłam się trochę na profilu z rozszerzonym angielskim. Jak się okazało spora część klasy bardzo słabo posługiwała się tym językiem. Nauka nie sprawiała mi trudności, ale zdobywanie dobrych ocen nie było tak łatwe jak w podstawówce.

Z pomocą przyszła nowa pasja – żeglarstwo.

Fot. 13: Rejs z przyjaciółmi po Mazurach. 2008 rok.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

W szkole organizowane były obozy żeglarskie pod koniec każdego roku szkolnego. Zapisalam się na wyjazd i kurs na patent żeglarski. Kibicował mi w mojej nowej pasji mój Tata, który dzięki temu znów do czasów studiów zaczął pływać. Wciągnął mnie ten marynistyczny świat. Poznałam nowe osoby, w szkole stworzyła się grupa żeglarska pomiędzy podziałami na klasy i roczniki. Należałam też do klubu żeglarskiego. Oprócz rejsów po Mazurach wzięłam udział w rejsie morskim do Norwegii. To była prawdziwa szkoła życia. Trudne warunki sanitarne, a ja taki czyścioch. Sporo silnych charakterów

zamkniętych na małej przestrzeni naszego jachtu. Ale była to cudowna przygoda! Poznałam wspaniałych ludzi, z którymi rozmawiało się całymi godzinami podczas nocnych wacht. Kilka z tych żeglarskich przyjaźni przetrwało próbę czasu, w przeciwieństwie do szkolnych koleżanek. Są to ludzie na których naprawdę mogę polegać!

Przez całe liceum stopniowo dojrzewałam do podjęcia decyzji o zdawaniu na medycynę. Praktycznie cały wolny czas w czwartej klasie poświęcałam na przygotowywanie się do egzaminów wstępnych – co tygodniowe wyjazdy do Krakowa na korepetycje, oprócz tego kilka razy w tygodniu korki z chemii i fizyki. Musiałam sporo nadrobić, bo profil mojej klasy pozostawał językowy. Tutaj znów mogłam liczyć na ogromne wsparcie Rodziców. Korepetycje były bardzo kosztowne. Początkowo odradzali mi ten trudny zawód, ale widząc moją determinację zrobili wszystko co mogli by mi pomóc. Matura pozostała z boku. Dla mnie był to tylko etap przejściowy do egzaminów wstępnych na medycynę. Zdałam ją dobrze, ale to nie to było moim prawdziwym celem. Wspólnymi siłami udało się dostać na wymarzony kierunek. Nie zapomnę dnia ogłoszenia wyników. Tłum na dziedzińcu Collegium *Medicum* przy ul. Św. Anny gdzie wywieszone były listy z nazwiskami tych którzy się dostali i tymi, którym zabrakło szczęścia. Jestem na tej właściwej – dostałam się! Ścisnęłam moją Mamę mocno i nie chciałam jej wypuścić z objęcia, bo wstyd mi było trochę, że łyzy lecą mi po twarzy. Tego dnia dostałam od niej studencką torbę i kilka innych gadżetów z logo Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dopiero wtedy mnie dotarło, że będę studiować na najstarszej i najbardziej prestiżowej polskiej uczelni. To była część tej magii... Medycyna sama w sobie zawsze była dla mnie tajemną wiedzą. Dostępną nielicznym. W naszej rodzinie jestem jedynym lekarzem. Byłam czystą kartką, bez koneksji i znajomości w środowisku. A tu wreszcie ten zaczarowany świat stał przede mną otworem.

Początki okazały się niezwykle trudne! Nie wyobrażałam sobie, że tak ogromną ilość materiału można przyswoić w tak krótkim czasie. Presja była ogromna – trudno się dostać, a tak łatwo wylecieć na pierwszym roku. Byłam jednym ze słabszych studentów w mojej grupie. Bolało mnie to. Ja zawsze w czołówce, a tu w indeksie same tróje. Ale wiedziałam z czego to wynika. Nie potrafiłam tak jak koledzy przyjść po całym dniu zajęć i siedzieć nad książkami przez pół nocy. Nie byłam do tego przyzwyczajona – w podstawówce, a nawet w liceum nauka przychodziła mi dość łatwo, ale studia medyczne to zupełnie co innego. Liczyły się tylko suche fakty, które albo się wiedziało albo nie. Potrzebowałam znów jakiejś odskoczni. Zapisalam się na zajęcia z fotografii. Zawsze lubiłam robić zdjęcia i wychodziły mi one poprawnie. Myśląc o zrobieniu zdjęcia zaczynam inaczej patrzeć się na świat. Nagle dostrzega się rzeczy wcześniej niewidoczne – ludzi, sytuacje, wzory, ornamenty... Mam na koncie swój mały sukces: drugie miejsce w krakowskim konkursie fotograficznym, gdzie

stanęłam ze swoim kompaktowym aparatem typu „głupolka” w szranki z profesjonalistami z potężnym sprzętem.

Zaangażowałam się także w pracę na rzecz Międzynarodowego Stowarzyszenia Studentów Medycyny (IFMSA). Wspólnie organizowaliśmy akcje promujące zdrowie. Koordynowałam w Krakowie projekt „Szpital pluszowego misia”, który miał za zadanie osvajanie dzieci przedszkolnych z wizytą u lekarza. Dzięki tej organizacji mogłam spędzić cały miesiąc na praktykach wakacyjnych w szpitalu na Krecie. Byłam jedyną Polką w naszej kilkunastoosobowej grupie. Znowu podszlifowałam angielski i poznałam wspaniałych ludzi.

Fot. 14: Praktyki wakacyjne na Krecie. 2007 rok.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Dużym wsparciem przez cały okres studiów była dla mnie moja rodzina, zarówno ta najbliższa jak i dalsze ciocie, wujkowie, babcia. Byli ze mnie tacy dumni, nie mogłam ich

zawieść. Wszyscy bardzo dodawali mi sił i jakoś przeszłam przez te pierwsze trudne lata studiów. Swój pierwszy stetoskop dostałam od mojej Matki Chrzestnej i Kuzynów.

Dopiero od trzeciego roku zaczęłam rozwijać skrzydła. Po dwóch latach wypełnionych teorią i czystym wkuwaniem nareszcie pojawiły się zajęcia kliniczne. Kontakt z pacjentami, więcej logicznego myślenia niż suchej wiedzy. To było to o czym od lat marzyłam. Tak właśnie wyobrażałam sobie studia medyczne. Odnalazłam się i szło mi coraz lepiej.

Poznałam wtedy mojego męża, świeżo upieczonego absolwenta wydziału lekarskiego, który ukończył studia z wyróżnieniem. Ogrom jego wiedzy bardzo mnie motywował. Mąż wywodzi się z rodziny z lekarskimi tradycjami, co mnie początkowo onieśmiewało. Ale Rodzice-lekarze od razu przyjęli mnie za „swoją”. Było mi to potrzebne akurat w owym czasie.

Moi Rodzice od roku mieli problemy z prowadzeniem własnego biznesu. Zaczął się trudny czas dla małych przedsiębiorstw. W końcu stanęli przed faktem, że nie są już w stanie utrzymać dwóch studiujących dzieci, że popadanie w dalsze długi do niczego nie prowadzi. Zdecydowali się na emigrację do Wielkiej Brytanii. Najpierw wyjechał Tata, kilka miesięcy po nim Mama. To był bardzo ciężki czas dla naszej rodziny. Zawsze byliśmy blisko, zawsze razem, a tu taka rozłąka. Mi było chyba łatwiej, miałam Ukochanego, już jakiś czas mieszkalam poza domem. Brat został w rodzinnym Bielsku, gdzie studiował ekonomię. Niby otoczony dalszą rodziną, jednak jemu kontakty międzyludzkie, w tym także rodzinne, nie przychodziły z łatwością. Poradził sobie jednak znakomicie. W każde wakacje wyjeżdżaliśmy do Rodziców trochę popracować na własne wydatki. To była dla mnie nowość. Nigdy wcześniej nie musiałam podejmować pracy. Ale cieszyło mnie zarabianie własnych pieniędzy. Głównie były to prace w magazynach, fabrykach, totalny odpoczynek od trudnej medycyny, ale za to jaka szkoła językowa!

Fot. 15: Z kolegami z pracy w magazynie części samochodowych Jaguara w Coventry w Anglii. Rok 2005.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Znów przez ten okres około dwóch miesięcy byliśmy razem jako rodzina. Choć teraz już jako dorosłe dzieci, mieszkające samodzielnie, nie łatwo nam było nie raz zaakceptować różne ograniczenia Rodziców. Obecnie każde z nas prowadzi swoje życie, pracujemy, ja mam już własną rodzinę, przez te kilka lat przyzwyczailiśmy się do tej rozłąki. Z rodzicami widzimy się co dwa-trzy miesiące, rozmawiamy niemal codziennie, jednak to wciąż nie to samo...

Studia ukończyłam z dobrym wynikiem. Zostałam w Krakowie ponieważ mój Mąż miał tu dobrą pracę. A Kraków właśnie jest dokładnie w połowie drogi między naszymi rodzinnymi miastami. Pod koniec studiów wzięliśmy ślub. Po wakacjach zaczęłam roczny staż podyplomowy. To był świetny okres w moim życiu zawodowym – sporo nauki, ale tej praktycznej, dużo już lekarskiej pracy, jednak bezstresowej, bo na stażu jeszcze nie ma się pełnego prawa wykonywania zawodu i pozostaje się pod ścisłą kontrolą starszych kolegów. Utwierdziłam się także w wyborze specjalizacji. Mimo tego, że podobala mi się praca na pediatrii, internie, czy chirurgii to po tych kilku miesiącach byłam tym znudzona. Praca przy

komputerze przy opracowaniu wypisów bardzo mnie nużyła. Chciałam zajmować się leczeniem chorych, które przynosi szybkie efekty. Potrzebowałam także odrobiny adrenaliny.

Od praktyk wakacyjnych po pierwszym roku studiów poważnie zaczęłam zastanawiać się nad wyborem anestezjologii i intensywnej terapii. Specjalizacja ta łączy ze sobą zarówno część zabiegową jak i interdyscyplinarność w spojrzeniu na pacjenta. Po zdaniu Lekarskiego Egzaminu Państwowego dostałam się na rezydenturę do jednego z krakowskich szpitali. Tak jak chciałam jest to szpital miejski, wieloprofilowy. Nigdy nie chciałam pracować naukowo i zostać w Szpitalu Uniwersyteckim. Przez lata studiów zraziłam się do „profesorskiego” środowiska. To nie był mój świat. Chciałam być normalnym lekarzem w normalnym szpitalu.

Fot. 16: Ja w pracy na sali operacyjnej.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Początki pracy nie były łatwe. Bardzo duży stres i to nie tylko ten związany z sytuacjami medycznymi, ale przede wszystkim z międzyludzkimi relacjami. Anestezjolog

bardzo ściśle współpracuje ze swoją pielęgniarką i z zespołem operacyjnym. Młodym lekarzom niełatwo wejść w rolę kierującego niższym personelem medycznym, który ma przecież dużo większe doświadczenie zawodowe. Trudno mi było znaleźć złoty środek między nie daniem się zdominować starszym pielęgniarkom, a korzystaniem z ich wiedzy praktycznej. Po kilku miesiącach przyzwyczaiłam się do nowych warunków i praca sprawia mi do teraz ogromną satysfakcję. Jest to zawód o jakim zawsze marzyłam, bardzo dynamiczny, pociągający.

Pomimo tego, że jako pełnoetatowa mama i żona mogłabym wybrać lepszą specjalizację, mniej obciążającą psychicznie, mniej stresującą, nie wymagającą dyżurów. Interesuje mnie jeszcze inna dziedzina, ściśle powiązana z anestezjologią – medycyna bólu. Jest to praca spokojniejsza w sam raz na ciepłą „emeryturę” we własnym gabinecie. Ale zobaczymy jak się życie potoczy. Nim to nastąpi muszę się jeszcze wiele nauczyć. Ciągłe czuję wyrzuty sumienia, że za mało czasu poświęcam na samokształcenie. W natłoku domowych obowiązków i w zmęczeniu samą medycyną, trudno znaleźć siły i czas na otworzenie wieczorem książki czy czasopisma medycznego. Tutaj na pewno odrobinę zazdroszczę moim koleżankom i kolegom, którzy nie założyli jeszcze swoich rodzin i pną się prężnie po stopniach zawodowej kariery zostawiając w tyle mnie i inne mamy-lekarki. Specjalizacja trwa planowo 6 lat, a ja już wiem, że moja wydłuży się do ośmiu, z powodu dwóch urlopów macierzyńskich i zwolnień lekarskich w ostatnich miesiącach ciąży, kiedy to praca okazała się zbyt ciężka dla przyszłej mamy. Wiem jednak, że mam ten zapas czasu na „poślizg”, bo przecież udało mi się przebrnąć przez lata mojej edukacji bez żadnych opóźnień, a dzieci i rodzina zawsze były najważniejszą częścią mojego planu.

CZĘŚĆ II - BIOGRAFIA NIEPRZEŻYTA

Nie zdarza mi się często rozmyślać o przeszłości i analizować zdarzenia. Żyję teraźniejszością i snuję plany na przyszłość. W moim życiu, które uważam za bardzo szczęśliwe, nie było wielkich dramatów, nie straciłam nikogo bliskiego, co zawsze było moją największą obawą. Mojej rodziny nie zamieniłabym na żadną inną. Uwielbiam miasto, w którym spędziłam wspaniałe beztrudne dzieciństwo. Ale lubię zmiany i cieszę się, że teraz mieszkam gdzie indziej. Wiodę życie bardzo spokojne i poukładane. Mam u boku mężczyznę, którego kocham, mam zdrową cudowną córeczkę, synek ma się pojawić za dwa miesiące. Spełniam się jako żona i mama. Uwielbiam gotować i prowadzić dom. Jednak cieszę się, że pracuję - medycyna jest moją pasją.

Ale gdybym mogła cofnąć czas... Pierwszą rzeczą którą bym zmieniła byłby wyjazd

moich Rodziców za granicę. Bardzo brakuje mi ich obecności. Chciałabym móc zabrać kilka drobiazgów do samochodu i za niecałe dwie godziny być u nich na kolacji. Patrzeć jak dzieciaki piszczą z radości bawiąc się z Dziadkiem, pogadać z Mamą przy herbacie w kuchni.

Fot. 17: Moja córka robi swoje pierwsze pierogi z Babcią. Rok 2012.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Fot. 18: Córka z Dziadkiem. Rok 2013.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Czy mogłam jakoś wpłynąć na to, żeby moi Rodzice nie wyjechali? Chyba nie. Oczywiście mogłam zrezygnować ze studiów, pójść do pracy, ale to znając moich Rodziców spotkałoby się z ich absolutnym sprzeciwem, bo zawsze dużo inwestowali w naszą naukę i rozwój. Mamy z Mężem w planach budowę domu. To będzie dom wielopokoleniowy. Taki jak ten, w jakim żyło się dawniej, całą rodziną. Bardzo dużo otrzymałam od moich Rodziców i pragnę dać im teraz coś od siebie. O własnym domu marzyli od zawsze. Odkąd pamiętam w czasie, gdy udało im się zgromadzić większy kapitał szukali takich rozwiązań by móc kupić bądź wybudować własny dom. Te plany nigdy się nie zrealizowały. Teraz jest może właśnie ten czas by nasze wspólne marzenia mogły się ziścić.

W mojej edukacji nie zmieniałabym chyba nic prócz może tego, żebym bardziej przyłożyła się do nauki, szczególnie na studiach. Brakuje mi nieraz wiedzy z tzw. podstaw, pewnie zemści się do na mnie podczas przygotowań do egzaminu specjalizacyjnego. Będę wtedy musiała sięgnąć np. do podstaw praw gazowych z fizyki. Co do wyboru specjalizacji jak już wspomniałam nie żałuję. Można było łatwiej zarobić pieniądze, ale zarobki to nie wszystko o co w zawodzie chodzi. Liczy się satysfakcja z tego co się robi.

Na pewno żałuję, że przerwałam naukę gry na pianinie. Mogłam też równolegle nauczyć się grać na gitarze. Jakby miło było teraz usiąść wieczorem z przyjaciółmi i pośpiewać szanty, zagrać dziecku kołysankę... Obiecuję sobie, że do tego wrócę.

Boję się utracić to szczęście które posiadam. Praktycznie nic nie żałuję. Życie ułożyło się tak jak tego chciałam. Myślę, że to zasługa ludzi którzy mnie otaczają, przede wszystkim Rodziny. Wsparcie w trudnych wyborach dorosłego życia i swoboda, którą dali nam Rodzice dodały mi skrzydeł. Nie mogę sobie życzyć nic więcej niż żeby ta dobra passa trwała nadal.

Fot. 19: Wakacje nad Bałtykiem. 2013 rok.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki

Fot. 20: Wakacje nad Bałtykiem. 2013 rok.



Źródło: kolekcja prywatna Narratorki